

Kamila Dzika-Jurek
Uniwersytet Śląski w Katowicach

Twórcza bezradność melancholika

[László F. Földényi, *Melancholia*, tłum. R. Reszke, Wydawnictwo KR, Warszawa 2011, ss. 262]

Kiedy w 1996 roku Wojciech Bałus, historyk sztuki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, wydawał swoją świeżo napisaną pracę habilitacyjną zatytułowaną *Mundus melancholicus. Melancholiczny świat w zwierciadle sztuki*¹, melancholia nie była jeszcze „modna” w Polsce². Słynny zbiór esejów Marka Bieńczyka – *Melancholia. O tych co nigdy nie odnajdą straty*³, który tę modę niejako zapoczątkował, miał się ukazać za dwa lata, a świetne, choć dedykowane głównie literaturoznawcom *Wzniosłe tęsknoty* Przemysława Czaplińskiego – dopiero za pięć. Niemniej jednak na podstawie książki Bałusa można było już wtedy sporządzić solidną bibliografię melanchologiczną, mając nadzieję, że niektóre pozycje z przypisów zostaną w niedalekiej przyszłości przetłumaczone na język polski.

Śledziłam więc rosnące w Polsce z roku na rok zaciekawienie tematem melancholii, czekając jednocześnie z nadzieją, że być może ktoś wkrótce wpadnie na pomysł przetłumaczenia np. pracy László F. Földényiego, węgierskiego filozofa i teoretyka sztuki, której ostentacyjnie prosty tytuł –

¹ W. Bałus, *Mundus melancholicus. Melancholiczny świat w zwierciadle sztuki*, Kraków 1996.

² Na ten temat polecam wstęp do książki Aliny Świeściak: *Melancholia w poezji polskiej po 1989 roku*, Kraków 2010, s. 5–6.

³ M. Bieńczyk, *Melancholia. O tych co nigdy nie odnajdą straty*, Warszawa 1998.

Melankólia składał obietnicę, jeśli nie ciekawej, to przynajmniej „jakiejś” monografii tematu.

Czekałam do 2011 roku⁴. Co prawda, nie jest to tłumaczenie węgierskiego oryginału, lecz wersji niemieckiej, ale bezproblemowo przekłnęłam ten fakt ze względu na to, że przekładu egzemplarza *Melancholie*, wydanego w 2004 roku, podjął się Robert Reszke (zmarły – niestety – w 2012 roku uznany tłumacz dzieł Freuda, Junga, Wittgensteina, Benjamina...). Jednocześnie w samym ascetycznym sposobie wydania książki – licha, miękka oprawa, drobne litery, brak pomysłu na właściwą segmentację tekstu – widać, jakiej grupy czytelników spodziewał się wydawca dzieła: pasjonatów⁵ zainteresowanych samym słowem. Dlatego dość siermiężnie wydana książka Földényiego pozwala tylko (i aż) na dosłownie „lekturę” słowa. Te zapisane drobnym maczkiem karty to jednocześnie niemal inscenizacja iście naukowego pragnienia badaczy poszukujących możliwie najbardziej „odpowiedniego” słowa. To, jak nadal wyjątkowo smakują słowa o melancholii, mimo już sporej ilości dzieł na jej temat, wiedzą tylko melancholodzy. Zresztą ów problem braku niewystarczających zasobów języka wobec pragnienia ujęcia tej czy innej rzeczywistości, łączy się gdzieś u samego źródła z samą melancholią. A mianowicie, jak pisze Földényi w przedmowie do swojej pracy:

Słowo mówi mniej, niż chcielibyśmy zakomunikować – ale fakt, że nie sposób wygnać z życia nieporozumień, wskazuje na to, iż nie chodzi tu o zaledwie niedoskonałość techniczną, lecz o najpierwotniejszy paradoks języka, komunikowania siebie; słowa zdradzają niewiele, ponieważ tkwi w nich zbyt wiele treści; niezależnie od tego, co mówimy, o czym mówimy, nasze słowa wyrażają nie tylko to, co chcielibyśmy zakomunikować. W ich głębi ukryty jest inny świat, świat niekomunikowany, który słowom tym nadaje życie. Oczywiście możemy wygłaszać uwagi na temat tego świata, lecz w ten sposób nie zlikwidujemy go, jedynie nieco poszerzymy jego granice, przesuwając trochę horyzont, którego i tak nigdy nie osiągniemy⁶.

Choć te słowa zaledwie otwierają książkę Földényiego, to w moim przekonaniu ten niewielki fragment jest jednym z najcenniejszych w całej *Melancholii*. W tej pierwszej myśli, o „świecie niekomunikowanym, który nadaje naszym słowom życie”, jest coś epifanijnego na temat istoty melancholii. Autor recenzowanej przeze mnie książki od swojego pierwszego

⁴L.F. Földényi, *Melancholia*, tłum. R. Reszke, Warszawa 2011. Na oznaczenie przywoływanych cytatów stosuję skrót – M z podaniem numeru strony.

⁵Jednocześnie pomyślałam o tym, jak bardzo ta książka kontrastuje pod względem jakości wydania z innym dziełem na temat melancholii pt. *Saturn i melancholia* autorstwa R. Klubanskiego, E. Panofsky'ego i F. Saxla (Universitas 2009), wydanej w niestandardowym formacie 17,4 x 24,6 cm, w twardej oprawie, na kredowym papierze.

⁶M, s. 7.

słowa wplata melancholię w najbliższe człowiekowi problemy i dylematy – sprawę języka i komunikacji ze światem. W ten sposób węgierski badacz podkreśla już na początku swoich wywodów, że stoi po stronie tych, którzy melancholię widzą jako coś, co jest naturalną dyspozycją ludzkiej egzystencji („Smutek jest dolą człowieka” – to pierwsze zdanie ze słynnej książki *Melancholia* autorstwa polskiego psychiatry, Antoniego Kępińskiego) albo – jej „możliwością”, która „czyha” w ludzkim wnętrzu na moment jakiejś zmiany proporcji w tamtym „świecie niekomunikowanym”, poluzowanie porządku (kosmosu), zmianę równowagi mikro- i makrokosmosu...

Wychodząc w swojej pracy od opisu melancholii – jako pewnej zmiany kosmicznego porządku, którego odbiciem jest naruszenie ładu we wnętrzu człowieka, Földényi zdaje się niemal dosłownie przywoływać najwcześniejsze ustalenia dotyczące melancholii – autorstwa m.in. Hipokratesa, Arystotelesa, Platona etc., których pisma obfitują w opisy zmian w równowadze ciała człowieka adekwatne do zmian w zewnętrznym środowisku. Dlatego zdanie autora *Melancholii*, że „w epoce, w której melancholia po raz pierwszy objawiła się jako pojęcie, powiedziano o niej już wszystko”, bądź co bądź brzmi niczym rozpaczliwe wyznanie badacza, który ma pełną świadomość, jak trudnym do uchwycenia w sidła języka (*vide* – akapit wcześniej) celem jest to pojęcie. Poniekąd brzmi to również jak wyznanie człowieka ogarniętego melancholią, co Földényi potwierdza kilka linii później, przechodząc błyskawicznie z dyskursu naukowego na dyskurs „własnego położenia”: „jeśli mówimy o melancholii, nie jest ona przedmiotem naszej mowy, chodzi tu raczej o **próbę rozpoznania własnego położenia** za pomocą pojęć, jakie w związku z melancholią ukuto”.

Földényi nie ma złudzeń, w przeciwieństwie do wielu jeszcze badaczy, że melancholia – tak jak i inne pojęcia o statusie „nierozstrzygalnym” – to sprawa bezradności ludzkiego języka wobec rzeczy przychodzących ze „świata niekomunikowanego”; wobec tych wszystkich pojęć, które niezależnie od wielu wieków poświęconych im badań i setek zapisanych stron, zdają się być w jakiś dziwny sposób jeszcze *nova novitia* (zagadką jest np., dlaczego Robert Burton pisał w swoim dziele o melancholii dosłownie jako *nova novitia*, mimo że nie ma mowy, by to pojęcie w XVII wieku było „nowością”?). Być może z tego powodu węgierski badacz od razu porzuca myśl, by pisać o samym pojęciu melancholii (i tym samym, jak twierdzi, skazać swój wysiłek na utonięcie w morzu „historii nieskończonego procesu precyzowania pojęć”) na rzecz „tropienia losu pojęcia”, by spróbować w jego

historycznej zmienności wyłowić podobne, a nawet rytualne formuły, które pozwolą choć odrobinę „bardziej rozumieć”⁷.

Dlatego w *Melancholii* naukowe „cięcie” tekstu zastępuje tak naprawdę prosta chronologia, a jej ramy czasowe wyznaczają tutaj nie same daty, lecz dzieła analizujące kwestię melancholii bądź też w jakiś sposób z nią związane. Swoje rozważania Földényi rozpoczyna od *Problemata Physica* Arystotelesa, a kończy – równolegle – *Okrutnym Demiurgiem* swojego rodaka – Emila Ciorana i *Frankensteinem* Mary Shelley. Co prawda recenzowane dzieło zawiera rozdziały, ale ich enigmatycznie brzmiące, mało precyzyjne tytuły („Wtajemniczeni”, „Więzenie temperamentów”, „Wyzwanie losu” etc.) nie wskazują na konkretne punkty w tekście i nie pomagają, niestety, się w nim poruszać. Dlatego praca ta – byśmy mogli nabrać właściwej orientacji w tekście – wymaga w pierwszej kolejności porządnej „epickiej” lektury. Poza tym dość zwarta struktura książki oraz wyraźnie zaznaczone w tekście „ja” autora nie pozwala się oderwać od pracy Földényiego bez zagubienia jej sensów. Dlatego właśnie czytanie *Melancholii* oznacza żmudne, ostrożne przemieszczanie się po tekście – linijka po linijce. W tym sensie lektura książki oznacza spory wysiłek, w jakiś sposób będący jednak powtórzeniem wysiłku samego autora, który jako swego rodzaju motto do książki (oddzielając je od reszty tekstu) postawił zdanie: „Początek wśród mąk świadczy o trudności przedsięwzięcia”.

Przejdźmy zatem do samego tekstu, żeby pokazać, jak trudną sprawą musiało być napisanie *Melancholii*. Jak wspominałam wcześniej, konstrukcja tekstu oparta jest na opisie kwestii związanych z pojmowaniem natury melancholii w różnych czasach – od pierwszych zapisów w starożytnych traktatach aż po współczesną literaturę piękną i naukową. Jednak dopiero wyobrażenie ogromu materiału, z jakim podejmuje się pracować w tej książce Földényi, może pozwolić nam choć w przybliżeniu uzmysłowić sobie faktyczną wartość pracy, jaką wykonał węgierski melancholog. Co prawda, końcowa bibliografia wylicza, z ilu prac (naliczyłam 144!) korzystał, ale czego nie pokazuje sama książka, a co sobie tylko wyobrażam, to np. fakt, z ilu w istocie fiszek złożona jest myśl Földényiego? Jak wiele różnych inspiracji, rozmów (być może z innymi badaczami), skojarzeń etc. nasyciło treść tego dzieła? Piszę o tym, nie tylko po to, by pokłonić się przed morderczym wysiłkiem autora *Melancholii*, ale też, by dać wyraz własnej recenzenckiej bezradności wobec opisanego tak imponującej zawartości książki Węgra.

Nawet jeśli Földényi wiele kwestii powtarza (Zresztą, czy w każdej dziedzinie nauki nie istnieje pewna „baza”, od której należałoby zacząć?),

⁷M, s. 10.

to te powtórzenia obudowuje tak wieloma odniesieniami oraz przytacza tak wiele nowych szczegółów (przynajmniej dla badacza znającego tylko polskojęzyczną bibliografię przedmiotową), że trudno uczynić z tego jakkolwiek zarzut wobec recenzowanej pracy. Przykładowo słynna teoria czterech humorów, którą dzisiaj właściwie przyswaja się wraz z ogólną wiedzą o kulturze, staje się w refleksji Földényiego podstawą fantastycznego miniejsu. Na przykładzie wprowadzania przez kolejne pokolenia badaczy zmian w sprawie *quattuor humores*, autor *Melancholii* pokazuje proces rozpadu starożytnej idei uniwersum (przedstawiającej więc łączącą człowieka ze wszechświatem) na rzecz ogólnej średniowiecznej doktryny „szufladkowania” ludzi, przyporządkowania każdego człowieka do jakiegoś typu (sanguinik, choleryk, melancholik, flegmatyk). Te cztery typy temperamentów zastępują cały wachlarz ludzkich emocji, unieważniając tym samym kłopotliwą w średniowieczu „sprawę” psychiki. Földényi zastanawia się nad tym, jak być może zgubne dla całej naszej europejskiej kultury było to średniowieczne przekształcenie hipokratejskiej teorii jedności soków empirycznych i teorii żywiołów Empedoklesa w ideę czterech temperamentów ludzkich jako czterech „stanów normalnych”. Potencjał wyjściowej idei został pogrzebany, kiedy w średniowieczu „spróbowano uczynić z melancholii coś powszechnie zrozumiałego, codziennego”⁸. „Najbardziej znamienym owocem tego postępowania – pisze autor *Melancholii* – jest rozwijająca się z teorii humorów doktryna temperamentów, która w ten sposób, że dzieli ludzi na grupy, odejmuje melancholii jej żądlę: to, co można pogrupować, nie da się już rozdzielić”⁹.

To właśnie przenikliwe komentarze, ujmujące rzeczywistość różnych czasów w wielu perspektywach, prowokujące do fundamentalnych pytań, o wpływ, jaki mogły i mogą mieć poszczególne teorie naukowe na stan naszej kultury (A co, gdyby jednak naukowy los starożytnej teorii humoralnej potoczył się inaczej? Jakie miałyby to skutki dla dzisiejszej kultury i kulturowej percepcji świata? W jaki sposób tamto myślenie średniowieczne jeszcze oddziałuje na myślenie współczesne? I tak dalej.) są największym atutem książki Földényiego. W tym wszak zawiera się główna wartość recenzowanej pracy, że dzięki erudycji i przenikliwemu spojrzeniu autorowi monografii udaje się wejść znacznie głębiej w omawiane kwestie, niż można by się było tego spodziewać w tekście o charakterze periodyzacyjnym. Uwaga Földényiego nie koncentruje się na tym, jak coś istniało (idea, zjawisko) przez pewien czas, ale jego właściwym celem zdaje się być zna-

⁸M, s. 43.

⁹Tamże.

leżenie pierwszych przyczyn każdej rzeczy oraz odpowiedź na pytanie, w wyniku jakich interakcji ta rzecz powstała. W tym sensie praca Węgry u swoich podstaw czerpie z najlepszych wzorców, jak np. słynna książka *Saturn i melancholia*, której autorzy – Raymond Klibansky, Erwin Panofsky, Fritz Saxl – za główny cel obrali sobie szukanie genezy zjawisk. Z takiego myślenia autora recenzowanej pracy biorą się, jak miemam, najlepsze fragmenty książki. Jak np. ten, gdzie Földényi, zestawiając średniowieczną, tak ciasną „sieć kultury”, że „można było wybierać wyłącznie pomiędzy umysłowo zdrowymi i umysłowo chorymi” ze współczesnością i jej pojęciem neurozy, którą nie wiadomo, do której z powyższych kategorii należy zaliczyć („Neurotyk nie jest w żadnym wypadku obłąkany, nie jest też jednak zdrowy”¹⁰), pokazuje, jak owo pojęcie nerwicy rozmyło nasze odczucie i myślenie o zdrowiu i chorobie psychicznej.

Melancholia to bardzo niewdzięczny materiał badawczy. Melancholię – i tu zgadzam się w pełni z autorem recenzowanej pracy – chciałoby się z jednej strony zawęzić, ustalić w niej jakiś mocny punkt zaczepienia, ale z drugiej strony, kiedy próbujemy to zrobić, okazuje się, że wtedy owo pojęcie traci swe uniwersalne znaczenie egzystencjalne i funkcjonalne. Dlatego być może pisanie o melancholii najbardziej pociąga samych melancholików. Mam trochę takiej wiedzy, ale i taką intuicję, że gdyby spojrzeć na prace melanchologiczne pod tym kątem, wiele, zwłaszcza wybitnych tekstów, mogłoby się okazać dziełami melancholików. Zresztą wielu się do tego przyznaje. Rodzimy melancholog – Marek Bieńczyk – pisze np. o „Saturnowym palcu, który go dźga”, natomiast Julia Kristeva, ceniona na całym świecie psychoanalityczka i filozofka języka, tak pisze we wstępie swojej słynnej książki – *Czarne słońce. Depresja i melancholia*: „Dla tych, których melancholia pustoszy, pisanie o niej ma sens jedynie wtedy, gdy wypływa z samej melancholii”. Choć to niejedyny przykłady. O swojej skłonności do melancholii pisał Burton, Arystoteles, Kierkegaard... Melancholikiem jest – powtórzmy – też Földényi. Dlatego *Melancholia* to książka z wyraźnie odczuwalnym osobistym rytmem wypowiedzi, w składni i konstrukcji zdań powtarzająca jak mantrę poczucie bezradności wobec dojmującej pustki rzeczywistości, rozpaczająca nad twórczością zawsze i wszędzie skażoną wewnętrznym splątaniem (człowieka, języka) i odczuciem nierozstrzygalności losu.

Bezradność człowieka wobec nawiedzającej go melancholii i „nierozwiązywalność” losu ludzkiego to dwie główne kategorie w książce Földényiego, tym bardziej przybierające na sile, im bliżej jesteśmy rozdziału

¹⁰ M, s. 81.

o współczesnym kształcie melancholii. „Człowiek na mocy samej swej egzystencji dziedziczy to wszystko, co nie rozwiązane, co zaś stanowi tajemnicę stworzenia. Dzień w dzień musi konfrontować się z nieprzezwyciężonym rozziwem pomiędzy nicością i czymś, życiem i brakiem życia” – podsumowuje swoje rozważania autor *Melancholii*, w łagodnym tonie człowieka pogodzonego ze swoim saturnicznym losem, w zakończeniu (następującym dopiero po bibliografii) zatytułowanym „Pustka stworzenia”. Dlatego warto zatrzymać się w lekturze pracy węgierskiego badacza tuż przed jej ostatnim rozdziałem, zanim wejdzie się w ostatnie akapity tego uwodzicielskiego tonu i zanim się spostrzeże – niestety, że w głowie pozostało tajemnicze „nierozwiązywalne” równanie życia. Melancholia.